Za pięć dwunasta

O tych, którzy wracają do Boga w ostatnich chwilach życia, mówi **ks. Krzysztof Tabath**.

HENRYK PRZONDZIONO /FOTO GOŚĆ

MARCIN JAKIMOWICZ: „Słyszy ksiądz od pacjentów: da się żyć bez Boga?” – zapytałem kapelana szpitala w czeskim Cieszynie. Odpowiedział: „Mówią, że żyć się da, ale umierać już nie”.

KS. KRZYSZTOF TABATH: Też często słyszałem podobne odpowiedzi. Przykład: wchodzę do sali 720. Jeden z leżących tam mężczyzn mówi: „Proszę mi pomóc, jestem niewierzący. Wam jest chyba łatwiej przeżywać różne trudności i zawirowania”. „Może pan stać się wierzący” – rzucam. „Nie potrafię”. Zauważyłem, że on nie chce, bym doprowadził go do wiary, ale bym potwierdził, że wybór jego drogi jest słuszny, bym utwierdził go w tej niewierze. Czasami słyszałem: „Proszę księdza, jak człowiek żył trzydzieści lat bez Boga, to byłoby nieuczciwe, gdyby teraz do Niego powrócił. Chcę być honorowy”.

Nie zadziałała zasada: „Jak trwoga, to do Boga”?

Nie, choć ta dewiza jest piękna! Bo do kogo mam się zwrócić, jeśli nie do Niego? Pytam się tego pacjenta: „A co to za honor trwać w grzechu? Czy Jezus nie chciałby, by pan pojednał się z Nim i ze sobą samym?”. „A wie ksiądz, nigdy w ten sposób nie pomyślałem...”

Wyspowiadał się?

Tak! Widziałem ludzi, którzy rozumieli, że trwanie w grzechu nie jest żadnym „honorem”. Jezus wzywał grzeszników: „Nawracajcie się!”, a nie poklepywał ich po ramieniu. Starałem się nie narzucać, podchodzić do pacjentów z szacunkiem. Lekarze i pielęgniarki wiedzieli, że nie jestem intruzem, i często mówili mi: „Przywieźli pacjenta w ciężkim stanie. Proszę do niego podejść”.

Często spotykał się Ksiądz z agresją?

Nie, ale zdarzało się. Jeden z pacjentów przeklinał mnie do samego końca. Lekarze i pielęgniarki opowiadali, że ciężko umierał, niepogodzony ze sobą i ze światem...

Zdarzali się „dobrzy łotrowie”, którzy nawracali się za pięć dwunasta?

Oczywiście! Na początku kapłańskiej drogi myślałem, że to trochę niesprawiedliwe. Ktoś całe życie żył z dala od Boga, a pod koniec nawrócił się i hop do nieba. (*śmiech*) Bardzo pomogła mi wówczas postawa Dobrego Łotra. Zaintrygował mnie. W szpitalu widziałem podobne postawy jak na Golgocie: dwóch pacjentów w sytuacji zagrożenia życia, przed identyczną operacją. Jeden spowiadał się, drugi kategorycznie odmawiał. To tajemnica...

„Ludzie nawracają się, bo czują lęk przed śmiercią” – powiedzą sceptycy.

Też tak na początku myślałem. Życie pokazało mi, jak bar-

dzo się myliłem! Gdyby chodziło o strach przed śmiercią, to na Golgocie nawróciliby się obaj złoczyńcy. Widziałem w szpitalu, że ludzie wracali do Boga po latach nie dlatego, że zaczęli bać się śmierci, ale dlatego, że... przestali bać się spowiedzi. Dotąd, by przyjść do konfesjonału, musieli wyjść z domu, przekroczyć próg kościoła, podejść do obcego księdza, czyli pokonać jakąś drogę. A tu sam Jezus siadał przy ich łóżku! Skracał dystans. Bardzo im to pomagało. Bo oni naprawdę często nie wiedzieli, od czego zacząć spowiedź. Siedzę i czekam, aż pacjent rozpocznie. A tu nic. Widzę, że nie wie, co powiedzieć, i zaczynam: „W imię ojca”, a on na to: „Stanisław”. (*śmiech*) Szpital to miejsce łaski. Ludzie mają czas na bilans, na spojrzenie na życie z dystansu. Często widzą, jak bardzo się pogubili, jak to wszystko jest tymczasowe, kruche. Dostrzegają, że w głębi serca tęsknią za Bogiem. I nagle przychodzi ksiądz, który proponuje spowiedź. Wszelkie bariery znikają. Pewnego dnia wchodzę do sali 704...

Zapamiętał Ksiądz numery sal?

Nie pamiętam imion, twarzy, nazwisk pacjentów. Umawiałem się na spowiedź w konkretnych salach i przy konkretnych łóżkach. Sala 704: „Czy pragnie się pan wyspowiadać?”. „Teraz nie, bo zaraz idę na operację”. A operacja bardzo ciężka, na otwartym sercu. „A może jednak zdążymy? Zostawiam panu rachunek sumienia i przyjdę za kwadrans”. Wróciłem i słuchałem spowiedzi, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł profesor i kilku chirurgów. Pacjent spłoszył się, a oni rzucili: „O, jest ksiądz! On jest teraz ważniejszy” i wyszli. Pacjent wyspowiadał się, przyjął sakramenty. Powiedziałem: „Lekarze zaraz tu wrócą”. A on na to: „Proszę księdza, teraz to mi jest już wszystko jedno. Ta operacja naprawdę przestała się liczyć. Dopiero dziś uświadomiłem sobie, że przyszedłem do tego szpitala po to, by się wyspowiadać. Już się nie boję”.

Często pacjenci spowiadali się przez łzy?

Widziałem i łzy skruchy, i łzy radości, gdy spadał im kamień z serca. I to niezależnie od tego, czy spowiadał się mężczyzna, czy kobieta. Dla mnie najważniejsze było jednak to, że pacjenci decydowali się, by wrócić do Boga. Emocje jednego dnia są, drugiego ich nie ma.

Spowiedników podnoszą na duchu takie spowiedzi po latach?

Oczywiście! Takie spowiedzi bardzo nas mobilizują i mówią nam o tym, że warto szukać zagubionej owcy. Pokazują nam radość pasterza, który cieszy się z jej odnalezienia. W konfesjonale doświadczamy radości ojca, który na drodze wypatrzył powracającego syna. O wiele trudniejsze są spowiedzi, w których nie widać ani skruchy, ani postanowienia poprawy. Niby się spowiadasz, ale nie chcesz, by Bóg zainterweniował w twoim życiu, nie chcesz niczego zmienić. Gdzie tu jest nawrócenie?

Często wychodził Ksiądz ze szpitala z poczuciem bezsilności?

Starałem się po dyżurze zostawić to wszystko w kaplicy, nie zabierać ze sobą. Wiedziałem, że kolejnego dnia znów będę w szpitalu. Spędzałem w nim wiele godzin, czasami dyżur kończyłem po 22.00. Wspaniale współpracowało mi się z personelem i lekarzami. Stanowiliśmy jedną drużynę. Przykład? Wchodzę na PINK – salę intensywnego nadzoru. Widziałem, że przy monitorowanym łóżku jednej z pacjentek była przed chwilką jakaś akcja. „Co u pani słychać? Może umówimy się na spowiedź?” – pytam. „Dobrze”. „Idę teraz na Mszę i przyjdę po niej”. A zza parawanu lekarz szepcze: „Teraz!”. „A może jednak teraz się pani wyspowiada?”. „Dobrze”. Udzieliłem jej sakramentów. Gdy wróciłem po Eucharystii, już nie żyła.

Czy to „teraz” nie jest kwintesencją Triduum? To nie historia sprzed 2 tys. lat, to jest „teraz”, „dzisiaj”.

Tak jest! Nawrócenie jest zawsze dzisiaj. Albo teraz decyduję się na powrót do Boga, albo łudzę się, że wrócę do Niego później. A skąd wiem, ile czasu mi pozostało? Posługa kapelana szpitalnego to znakomita lekcja pokory i tego, że nie jesteśmy panami swojego życia. Ja już po pierwszym miesiącu pracy kapelana wziąłem sobie za patrona Dobrego Łotra. A on zaczął działać. Wchodzę do pierwszego pokoju, a tam reanimacja. Zdążyłem. W pierwszym miesiącu miałem mnóstwo takich „niewezwanych” niespodzianek. Kilka reanimacji, podczas których sakrament chorych podnosił pacjentów. Bo to nie jest „ostatnie namaszczenie”, tylko sakrament uzdrowienia! Konkretna historia. Popołudnie. Idę przez oddział intensywnej terapii. W przedsionku zaczepia mnie rodzina: „Bardzo prosimy, by ksiądz nie przychodził do naszego ojca. Nie życzymy sobie tego. Nie chcemy go straszyć”. Co zrobić... Poszedłem dalej. Po przejściu oddziału zauważyłem przez szybę, że ta rodzina stoi przy łóżku człowieka... z którym rano umówiłem się na spowiedź. Wróciłem z powrotem. Wchodzę do sali (spiorunowali mnie wzrokiem!), a pacjent woła: „Wyjdźcie teraz, bo muszę z księdzem porozmawiać”. A wracając do Dobrego Łotra. Jeden ze złoczyńców szydzi: „Jeśli jesteś Synem Bożym, wybaw siebie i nas”, ale myśli jedynie o doczesności, o tym, by zejść z krzyża. Jak inną perspektywę ma drugi, który przecież znajduje się w takiej samej sytuacji! On nie myśli o tym, co doczesne, ale prosi: „Wspomnij na mnie, gdy wejdziesz do swego królestwa”. Wybiera inny kierunek, nieziemską perspektywę. Pierwszemu z łotrów Jezus nie odpowiada nic. Drugi słyszy: „Dziś będziesz ze mną w raju”.

Zdarzało się Księdzu bezradnie rozłożyć ręce: „Tu nic nie da się zrobić”?

Doświadczałem ogromnej mocy wstawiennictwa. Gdy przychodziła do mnie rodzina i prosiła: „Może ksiądz przekonać naszego ojca do spowiedzi? Żył przez lata na bakier z Kościołem”, mówiłem: „Jasne, ale pod warunkiem, że wy w tym czasie pójdziecie do kaplicy i będziecie się w tej intencji modlili”. Jeden z umierających pacjentów za każdym razem kulturalnie mi odmawiał. Elżbietanka s. Lucjana powiedziała mi: „Księże, on być może jutro umrze. Trzeba go wyspowiadać!”. Zawarliśmy barter: ona idzie modlić się za niego do kaplicy, a ja próbuję jeszcze raz. „Szczęść Boże, co u pana słychać? A może chciałby się pan wyspowiadać?” „Tak” – dobiegło z łóżka pod oknem. ■

> Nawrócenie jest zawsze dzisiaj. Albo teraz decyduję się na powrót do Boga, albo łudzę się, że wrócę do Niego później.

KS. KRZYSZTOF TABATH

UR. 1963, PROBOSZCZ PARAFII MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ W KNUROWIE, PRZEZ 20 LAT BYŁ KAPELANEM SZPITALNYM W KATOWICACH-OCHOJCU.

marcin.jakimowicz@gosc.pl